

SZÓSTY KRZYŻYK ROMANA MAYA

Z Poznania daleko do Leuna. Za to blisko do Lubonia. Co z tego? Nic, poza tym, że tam i tu króluje chemia. Tam, w NRD — ta wielka, tutaj — powiedzmy, średnia. Kominy okryte pióropuszcami burz dymów. Skazane wylaniem powietrze. Przygasła zielen. Kilometry rur, szyn, transporterów. I zbiorniki, duże zbiorniki, dużo zbiorników.

Leuna-Werke to taki kolos, który zwiędza się, krząc autobusem po wewnątrzfabrycznych drogach. Luboń trzeba lustrować per pedes. Tyle, że czerwony autobus wyrzuci Was na wprost bramy. Nie bramy miejskiej, lecz fabrycznej, oczywiście. Tej, która wiedzie do PZNF.

No tak: PZNF — to Wam niewiele mówi. Tak to bywa; każde dziecko w Polsce wie, że dobre są pierniki „Kopernika”, zna pastę do zębów „Lechia” i pamięta, że przedsiębiorstwo, za pośrednictwem którego otrzymuje „Piomy-

Z reporterskich wędrówek

czek” — nazywa się „Ruch”. Ale PZNF? Z tą nazwą są za pan brat jedynie ludzie związani z gospodarką. A przecież gdyby nie PZNF — „Kopernik” nie produkowałby pierników, „Lechia” — pasty, ba — sam wielki „Cegielski” popadłby w paskudne tarapaty.

Chcicie — to wiercie, chcicie — nie wiercie, ale zgodzić się trzeba, że żadna fabryka obyc bez kotłów się nie może. Te zaś zazwyczaj wypełnia się wodą, wodą z miękką czoną. Czym? Fosforanem sodowym lub hexametrafosforanem made in Luboń. Na tym jednak wpływ Poznanskich Zakładów Nawozów Fosforowych na... produkcję pierników, czy sera się nie kończy. Bo spróbujcie piec ciasto bez kwaśnego pirofosforanu. Ze co, proszę? No, bez proszku do pieczenia, którego istotnym składnikiem jest ten piro... Wyłączność produkcji na kraj: PZNF. Ponoć i najlepszy serowar sera nie uwarzy, jak się pirofosforanem nie posłuży. A znów bez hexametrafosforanu żaden „Radion”, czy jak się tam teraz tak zwane środki piorące nazywają, nie powstanie.

Więc wypadaloby te lubońskie „Fosfory” bliżej poznać. Związka, że poza tym ładnych parę pociągów na tydzień fabrykę opuszcza, wioząc tysiące worków z zawartością, bez pomocy której z naszymi płonami na polach byłoby mikro. W końcu przecież trzeba przypomnieć o tym, że aż 4/5 produkcji PZNF — stanowią mineralne nawozy.

To mi opowiedział któryś z inżynierów: stary oddział produkcji nawozu, zwanego superfosfatem pylistym — został zamknięty. I tak ludziska nawdychali się tam „mnó-

Dokończenie na str. 2

„Przesyłam w załączeniu coś, czego formę trudno określić. Jest to opis autentycznego wydarzenia, z czerwca ubiegłego roku. Nazwiska, miejscowości itp. są zmienione. W przypadku wydrukowania, jakiejś przeróbki tego, co posłałem i należnego mi z tego tytułu honorarium, proszę o jego przekazanie na cel społeczny, wskazany przez redakcję. Z poważaniem

Niecodzienny list. Gdy przeczytacie poniższą relację-opowiadanie, z pewnością zgodzicie się, że Autor dotknął problemu, który ma wiele wspólnego z niedawno zaobserwowanymi ranami. Zastanawiające są przy tym niektóre myśli, wyrażone w tym liście-wyznaniu.

Być może, że zdarzyło się gdzieś kiedyś tak, jak pisze „były Ryś”. W każdym razie mogły się zdarzyć i na pewno zdarzały się podobne sytuacje. I one stanowią jakąś część naszego życia.

Jest zarazem, mimo ponurej treści listu, coś w nim optymistycznego. To, że obok Janka — ludzie pokroju Rysia znaleźli z biegiem czasu swoje miejsce w nowym życiu, sławni wielki triumf humanistycznej treści socjalizmu.

Zgodnie z życzeniem Autora, honorarium za jego list-opowiadanie prześlemy na Społeczny Fundusz Budowy Szkół.

☆

To był naprawdę radosny dzień. Wszyscy uczniowie zebrani w auli szkolnej — patrzyli jak my, absolwenci, otrzymujemy świadectwa. W życzeniach składanych nam, mimo ich szczerości, przewijała się pewna nuta zazdrości, że my — już, a oni jeszcze rok czy dwa... Żyliśmy się z sobą przez te pięć lat. Mimo, że każdy pracował w innym przedsiębiorstwie, mimo że wśród nas byli żonaci i kawalerowie, młodzi i starzy, powiązania koleżeńskie były bardzo silne. W czasie przyjęcia, a właściwie większego picia, jakie zorganizowaliśmy dla grona naszych wychowawców i dla siebie, wspomniano każdą

miłą i niezbyt przyjemną chwilę, spędzoną w szkole.

Siedzieliśmy z Jankiem i opiekunem naszej grupy przy jednym stole. Poruszyliśmy różne tematy z życia szkoły. Janek, który lubił dużo mówić — trzeba przyznać, że ciekawie — wspominał coś o zamiarze nauki zaraz po wojnie; jednak nic z tego nie wyszło.

— A właściwie dlaczego pan dopiero teraz kończy szkołę? — zapytał Janka inżynier Pieczeń.

— Wie pan, różne były tego przyczyny, ale jedna, najważniejsza,

Po latach

zadecydowała. Ojciec mój, przedwojenny KPP-owiec, z chwilą zakończenia wojny, skierowany został na wschodnie tereny, do pracy w aparacie bezpieczeństwa. Pojechaliśmy i my, to znaczy matka, siostra i ja. W sierpniu 1946 roku ojciec zabity został pod Browem przez bandę Rysia. Następnego nocy matka i siostra, wracające od znajomych, powieszone zostały w bramie naszego domu przez tę samą bandę. Zostałem sam...

Janek przerwał na chwilę. Nikt nie starał się zakłócać ciszy, wiedząc jaki odczuwa ból!

— ...Kiedy trumny z najbliższymi zasypane zostały ziemią, kiedy już wszyscy odeszli z cmentarza, pod-

szedł do mnie zastępca ojca, porucznik Bryl; ujął mnie pod rękę i poszedł z niego do domu. Dopiero po paru dniach odzyskałem równowagę duchową i zacząłem zastanawiać się, co dalej robić. Pomógł mi w tym por. Bryl, który wrócił właśnie z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa z wiadomością, że mam

się przenieść do Lublina i zacząć uczyć. Miałem wówczas 17 lat i rozumiałem, że trzeba się uczyć. Z drugiej strony — wydawało mi się — nie można sprawy śmierci najbliższych pozostawić bez znalezienia winnych.

Rozmowa z Brylem, jedynym w tym czasie moim opiekunem i doradcą, spowodowała, że zamiast do Lublina, pojechałem do Warszawy na krótki kurs. Po jego ukończeniu, jako funkcjonariusz UB, pod komendą por. Bryla zacząłem nowy etap życia. Biegaliśmy jak psy gończe z wywieszonymi językami. Nie jedliśmy i nie spaliśmy. Codziennie do innej części województwa prowadził nas ślad bandy.

Byłem dwa razy ranny, odmroziłem ręce i nogi, leżąc w dole i czekając na możliwość chwycenia mordercy najbliższych. I proszę sobie wyobrazić, co za pech. Kiedy dostałem 3 dni wolnego, żeby pojechać do Lublina i powyrywać zęby — ujęto Rysia.

Wściekły byłem na siebie, na zęby, na kolegów, że to oni a nie ja, który miałem wyłączone do tego, jak mi się wydawało, prawo.

— Miał pan jednak satysfakcję, że schwytano go — wturcił inżynier.

— Tak, ale rozumiecie, że to nie to samo.

— A czy widział go pan w ogóle później w śledztwie lub na rozprawie?

— Nie, ponieważ byłem wtedy w sanatorium. Musieli wyciąć mi lewy płac płucny. Zwolniłem się później z pracy w aparacie bezpieczeństwa. Zacząłem pracować w zawodzie, który daje mi do dzisiaj dużo zadowolenia. Dlatego też zdałem teraz maturę. Czas koi pewne rany, chociaż pozostawia coś, co trudno zapomnieć. Słyszałem tylko od Bryla, że Ryś skazany został na długoletnie więzienie. Część odsiedział i zwolnił go. Słyszałem, że zmienił nazwisko. Podobno jeden z kolegów

z czasów lubelskich widział go tutaj, w Poznaniu.

— A co byś zrobił, gdybyś zobaczył go i poznał, że to on? — zapytał.

— Co bym zrobił?... Wiesz — trudno powiedzieć. Człowiek ten w owych czasach działał w imię czegoś, co jemu wydawało się słuszne. Odsiedział karę... Teraz może pracuje dla nas i z nami. Trudno powiedzieć, żebym z radością go witął. Ręki na pewno bym mu nie podał. Tak...

Znów zapanowało milczenie. Trwało nazbyt długo.

Ja — myślałem. Siedziałem pięć lat z nim w jednej ławce. Jego żona i moja to serdeczne przyjaciółki. My też. Ja jednak znam te fakty, o których Janek mówił. Ja zmieniałem nazwisko, ja wyszedłem z więzienia. Ja byłem...

Tak, to prawda! Nie powiem mu jednak tego. Czas zmienia ludzi. Nie lubię wspominać tego, czego nie robiłem z własnej woli i co nie przynosi zadowolenia.

Oldrzych Mikulaszek

Róża

Róża w siebie owinięta
do własnych się tuli płatków.
Piękno krwi przerywa letarg,
w którym sypia do ostatka.

Na piersiach ją ujrzałem z bliska
jak wędrowną, płatki szczerbie

mruży.

Czy kwiat się także w pięść

zaciśka?

Złęknę się nagle różą.

Przekład: JÓZEF RATAJCZAK

Oldrzych Mikulaszek urodził się 26 maja 1910 r. w Przerowie. Obecnie mieszka na stałe w ulubionym przez siebie Brnie. Mikulaszek, to świetny liryczny poeta. Jego poezja, nie bez uzasadnienia, bywa porównywana do twórczości Rainera Marii Rilkego. Debiutował w 1930 r. tomikiem wierszy pt. „Czarna, biała, tak i nie”. Od tego czasu wydał przeszło trzydzieści zbiorów poezji. Jest uważany za jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów czeskosłowackich i zaliczany do czwórki poetów, którą tworzą, oprócz niego, F. Hrubin, J. Zawada i J. Kainar.

Ilustr. - Ewa Pruska

Socjologia w urbanistyce

Urbaniści i architekci, stwarzając ramy przestrzenne dla ludzkiego życia, mają do spełnienia ważne zadanie. Polską szkołę urbanistyczną cechuje w tym zakresie dawna tradycja swego rodzaju socjologicznej refleksji. Już od lat istnieje u nas urbanizm społeczny. W związku z tym zwróciliśmy się do socjologa — docenta dr. Janusza Ziółkowskiego (katedra socjologii UAM z szeregiem pytań. Doc. dr J. Ziółkowski jest członkiem Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju Polskiej Akademii Nauk. Jako (jeden) humanista, będzie on uczestniczył jesienią w 26-tym Kongresie Urbanistycznym w Paryżu, gdzie wygłosi referat o aspektach socjologicznych urbanizacji. Doc. Ziółkowski wydał ciekawą pracę pt. „Sosnowiec — drogi i czynniki rozwoju miasta przemysłowego” (Śląski Instytut Naukowy, str. 400), prócz tego ma na swym koncie szereg innych publikacji.

— Panie Docencie, jak patrzy socjolog na miasto? Oczywiście, chodzi o pojęcie ogólne. Spojrzenie socjologa na pewno różni się od spojrzenia architekta, urbanisty, ekonomisty.

— Dla socjologa miastem jest grupa ludzka o określonej strukturze społeczno-demograficznej, która spełnia specjalne funkcje społeczno-gospodarcze i kształtuje zamieszkałość przez siebie przestrzeń dla wypełnienia tej funkcji. W mieście kształtują się specyficzne formy współżycia społecznego, jest w nim większa ruchli-

wość i większe zróżnicowanie. Cechy te tym są wydatniejsze im większa zbiorowość ludzka stanowi miasto. W tak dużym skupisku ludzie nie znają się wzajemnie. Człowiek żyje w mieście w obrębie rodziny, gronie przyjaciół, towarzyszy pracy — bez względu na odległość zamieszkania. Na wsi zaś wieś wytwarza się na podstawie sąsiedztwa. Jednym z podstawowych problemów dla socjologa jest zatem szukanie rodzajów więzi społecznych, występujących w mieście.

Rozmowa z doc. dr. Januszem Ziółkowskim

— Tak więc socjologia wysuwać może dezyderaty pod adresem decydujących o rozbudowie i wyposażeniu miasta...

— Urbaniści mają szansę wpływania na życie społeczne w mieście przez właściwą zabudowę przestrzeni, np. przez wyposażenie osiedli w urządzenia socjalne, kulturalne, usługowe, co stać się może załącznikiem społecznej. Urbaniści nie mogą nie uwzględnić okresu przystosowania się napływowej ludności (z budowaniem nowej dzielnicy na pra-

wiosek i miasteczek) do warunków życia miejskiego, chodzi tu o stadium pośrednie, bo proces urbanizacji przybyszków nie przechodzi gładko. Dla przykładu: w osiedlu Konina — Czarkowa, ludzie nie wyobrażają sobie życia bez zagrody z inwentarzem lub bez ogródka. Te potrzeby dostrzega socjolog, a uwzględnić je powinni architekci. Ze ci ostatni zdają sobie z tego sprawę, dowodzi fakt wprowadzenia wykładów socjologii na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej.

— Pan Docent jest konsultantem Pracowni Urbanistycznej miasta Poznania. W jakim stopniu nasi architekci i urbaniści korzystają z usług socjologów?

— Pracownia Urbanistyczna zainicjowała badania nad zagadnieniem likwidacji dzikiego budownictwa w ogródkach działkowych. Socjologowie wyraźniej widzą nawyki mieszkańców tych specyficznych obiektów: chodzi tu o szybkie przystosowanie owych ludzi do miejskich warunków. Drugie zagadnienie: współpraca przy budowaniu nowej dzielnicy na pra-

wym brzegu Warty; idzie o to, aby najlepiej odpowiadała ona potrzebom ludności i specyfice rozwojowej Poznania. Chciałbym dodać, że urbaniści i architekci często mają skłonność do ujmowania swojego zadania w sposób statyczny; projektują złośliwie, przedszkola, dziecińce, a na przykład zapominają, że dzieci rosną, że jest konieczne zlokalizowanie ośrodków rozrywkowych dla młodzieży.

— W artykule „Zagadnienie urbanizacji w socjologii i urbanistyce” (kwartalnik „Kultura i społeczeństwo”) wspominał Pan o dużej liczbie miast i miasteczek w Wielkopolsce. Jaka — zdaniem Pańskim — przypada im rola?

— Tu głos decydujący należy do ekonomistów. Być miasteczka warunkują przecież atrakcyjne miejsca pracy. Miasteczka wielkopolskie mają dużą szansę zatrzymania ludzi, gdyż są dostatecznie zurbanizowane, charakteryzuje je przy tym zasad-

Dokończenie na str. 3

Maciej Olszewski

NIE TYLKO WYWIAD



Przez z górą rok — od czerwca 1941 roku, do sierpnia 1942 roku — działała bez przeszkód na terenie Niemiec sieć tajnych radiostacji, nazywanych przez hitlerowski kontrwywiad za ich proradziecką i masową działalność „Czerwoną Kapelą”. Kiedy zaś, w dużej mierze dzięki przypadkowi, Abwehrze i gestapo udało się wpaść na trop owych „muzykantów”, okazało się, że wbrew początkowym przypuszczeniom mają do czynienia nie z siecią radzieckiego wywiadu, lecz z szeroko rozbudowaną organizacją niemieckiego ruchu antyhitlerowskiego, której członkowie przeniknęli do niemal wszystkich, nawet najbardziej sekretnych ogniw militarnej maszyny Trzeciej Rzeszy. Sprawa „Rote Kapelle” nabrała posmaku wyjątkowego skandalu; obciążającego zarówno kontrwywiad i gestapo, które wykazywały brak czujności i niedołęstwo, jak i samego Hermana Goeringa, którego protegowany pracownik ministerstwa lotnictwa, Harro Schulze-Boysen był jednym z przywódców owej tajnej, silnie powiązanej z komunistycznym podziemiem organizacji.

I choć już pierwszy etap energicznie prowadzonego śledztwa pozwolił na zidentyfikowanie poważnej liczby członków „Czerwonej Kapeli”, organa śledcze postanowiły działać nadzwyczaj ostrożnie, by zlikwidować całą „wyjątkowo niebezpieczną mafię”.

Pierwsze aresztowania

W południe 30 sierpnia 1942 roku, do gabinetu Schulze-Boysena wchodzi dwóch mężczyzn w charakterystycznych skórzanych płaszczach.

„Z polecenia Reichsfuehrera SS jest pan aresztowany”.

Niezmierny Schulze-Boysen prosi o okazanie legitymacji służbowych, po czym ogólną także starannie rozkazuje aresztowania, mówi spokojnie: „Jestem gotów”.

Więcej aresztowań tego dnia nie dokonano. Za to cała sieć agentów i konfidentów uważnie śledziła w ciągu następnych kilku dni wszystkich rozpracowanych już działaczy „Rote Kapelle”.

Dopiero rankiem 3 września gestapo aresztuje niemal jednocześnie drugiego przywódcę organizacji, dyrektora wydziału planowania w ministerstwie gospodarki Trzeciej Rzeszy Arvida Harnacka, jego żonę Mildredę oraz żonę Schulze-Boysena, Libertas Haas-Haye. Od tego czasu każdego niemal dnia cele więzienia śledczego zapełniają się nowymi więźniami. Wkrótce jest ich już 600.

Śledztwo

Bez przerwy trwają przesłuchania. Gestapo wykorzystuje w trakcie ich prowadzenia, cały arsenał wypróbowanych środków. Zarówno pamiętających czasy świetnej inkwizycji, jak i uzyskanych dzięki postępowi techniki...

Arvid Harnack, który mimo zmiażdżenia mu kolejno wszystkich palców nie powiedział ani słowa, zostaje powieszony za nogi. Kiedy i to nie pomaga, po kilku godzinach pomysłowi „urzędnicy” zakładają mu na głowę gesty worek nasycony eukennym płynem. Podobnie Schulze-Boysenowi...

John Sieg — doświadczony działacz komunistyczny, znający z własnej praktyki katowania gestapo, wykorzystuje po trzech dobach permanentnych „przesłuchań” moment nieuwagi gestapowców i popełnia samobójstwo. Podobnie Herbert Grasse...

Niektórzy z uwięzionych leżą całymi tygodniami ślepi z powiekami poparzonymi promieniami podczerwymi. Ale kiedy jednemu spośród nich, doktorowi medycyny Johnowi Rittmeisterowi, notowanemu już w kartotece policyjnej „notorycznemu kolporterowi wydawnictw komunistycznych”, który z gestapowców tłumaczy cynicznie powstanie owych oparzeń brakiem brunatnego pigmentu, ten odpowiada tylko sztycherką ripostą: „Na szczęście, nigdy nie miałem nic wspólnego z brunatnym kolorem”.

Nie wszyscy jednak spośród z górą sześciuset uwięzionych wytrzymują wyrafinowane tortury. Zalamują się, zaczynają sypać. Związka, że podczas masowo przeprowadzanych rewizji, ludziom Canarisa i Himmlera udało się zagarnąć sporo dowodów „zbrodniczej działalności zdradców”. Prowadzący śledztwo gestapowcy uzupełniają troskliwie luki w materiale, ze zdołaną energią przystępują do badań, organizują konfrontacje, ponownie poddają zabiegom tych wszystkich, którzy nie powiedzieli do tego czasu ani słowa. Śledztwo trwa...

Prehistoria „Czerwonej kapeli”

Już w trakcie tego okazuje się, że praca wywiadowcza na rzecz toczącego właśnie pod Stalingradem boju na śmierć i życie Związku Radzieckiego, nie była ani jednym, ani nawet najważniejszym odcinkiem antyhitlerowskiej działalności „Rote Kapelle”. Jakkolwiek w swej ostatecznej formie, organizacja Schulze-Boysena — Harnacka ukształtowała się dopiero po napaści Trzeciej Rzeszy na Kraj Rad, zdecydowana większość jej członków, działała antyhitlerowsko — w małych, odizolowanych od siebie grupkach — już od roku 1933.

Wydając rozmaite pisma ulotne, inicjując akcje strajkowe, organizując komitety pomocy ofiarom brunatnego reżimu i ułatwiając między innymi ucieczki więźniów obozów koncentracyjnych, przeprowadzając różnego rodzaju akcje sabotażowe, grupki te — jakkolwiek były zróżnicowane pod względem społecznym, światopoglądowym i politycznym — zgodnie przeciwdziałały w miarę swych sił hitleryzmowi i jego planom ujarznienia Niemiec i całej Europy. Od dawna też na przykład prowadził swoją antyhitlerowską działalność, jeden z głównych oskarżonych Schulze-Boysen. Już w czasie śledztwa, jeden z prowadzących śledztwo komisarzy, oświadczył konfidentom przesłuchiwanemu właśnie Heinrichowi Scheelowi, którego krewniak zginął w Hiszpanii jako żołnierz walczącego po stronie Franco hitlerowskiego „Legionu Condor”: „Czy pan sobie w ogóle zdaje sprawę z tego, ile nam zaszkodził ten Schulze-Boysen? I to właśnie podczas hiszpańskiej wojny domowej? Na przykład, by skrócić niepotrzebny rozlew krwi nasłaliśmy naszych najlepszych wywiadowców do komunistycznych brygad międzynarodowych, ale Schulze-Boysen znał ich nazwiska i przekazywał o nich informacje czerwonym. Nasi ludzie byli stawiani pod ścianę”.

W rękawiczkach i bez nich

Rozpętanie przez Hitlera drugiej wojny światowej, przyczyniło się do ożywienia działalności antyfaszystowskiego podziemia. Stopniowo, na skutek organizatorskiej działalności Schulze-Boysena i Harnacka, następowało łączenie wysiłków poszczególnych grup. Zarazem dzięki przylączeniu się do powstającej organizacji licznych komórek skupiających doświadczonych działaczy komunistycznych, praca wydawnicza zaczęła nabierać cech masowej agitacji, skierowanej na niemieckie środowisko robotnicze, czy też adresowanej bezpośrednio do przymusowo ściągniętych do Niemiec robotników polskich, francuskich, radzieckich. Ale mimo że pisma ulotne podpisywane pseudonimem „Agis” znajdowano w tysiącach egzemplarzy, gestapowcom nigdy nie udało się

SZÓSTY KRZYŻYK ROMANA MAYA

Dokończenie ze str. 1

stwo za bardzo” fluoru. Za to nowo wybudowany oddział zamiast — jak przed laty — dostarczać 36.000 ton nawozu rocznie, wyprodukuje w tym roku dwieście tysięcy. Tyle przewidywała dokumentacja. Ale luboński trust mózgow lubi łamać teoretyczne ustalenia; pomyśleli, popracowali, dokonają pewnych zmian, przeródek i „wyciągną” na koniec pięciolatki zamiast dwustu — trzysta pięćdziesiąt tysięcy ton.

Dyrektor inżynier Zenon Szulc nie ma zbyt wiele czasu, spieszy się na naradę. Dyrektor Szulc — człowiek kierujący zakładami, które doczekały się pochlebnej wzmianki na Wojewódzkiej Konferencji PZPR — urzęduje w najpodlejszym gabinecie dyrektorskim, jakiego dane mi było widzieć. Tu nie dba się o efektywność; tu idzie walka o efektywność: nakładów inwestycyjnych, ludzkiego wysiłku.

— Powiadają o nas, że „zatłumiłmy” pszczołki w całej okolicy — ciągnie mój cicerone, główny technolog Zawadzki. — Ano, wszystkie fabryki ciężkiego przemysłu chemicznego są śmierzące. Podnoszą no gwałt, że niszczyły lasy. To prawda, tak było. Ale u nas idą w powietrze tylko dwie tony pyłu dziennie, gdy podkrakowska „Bo-

narka” posyłała ich czterdzieści... A zresztą — magister Zawadzki wskazuje dzikie rózyczki, których kwiecie sasiaduje z hałdą fosforytów — oto dowód, że jakoś z tą roślinnością nie jest u nas najgorzej.

Wszystko tu jest białe-szare. Dachy długich, budowanych z jasnej cegły hal, niepozorny budynek dyrekcyjny. Wielki teren fabryczny na pierwszy rzut oka wydaje się opustoszały. To właśnie charakterystyczne dla wielkiej chemii: mało ludzi — wiele rozmaitego kalibru rurociągów, zbiorników, kolejowych torów, rzędy cystern.

Fosforyty długą do Lubonia przebywają drogą — aż z Maroka. A potem biorą je w swe obroty fabryczne młyny. Transporter zawieszonym wysoko w powietrzu między budynkami tunelem — przekazuje cementowej barwy mąkę pod dach wielkiej hali. Tutaj układ elektorów i ślimaków podaje szarą masę do mieszalnika, gdzie dopływa kwas siarkowy. Pierwsze reakcje chemiczne i... zgęstniała zupka kapie do specjalnej komory. Stwardniała, skrawa się kawałek po kawałku. Jeszcze jeden transporter, jeszcze komora chłodząca — i gotowy superfosfat wędruje na hałdę w magazynie. Do powiatowych składnic wędruje superfosfat przez okragłych dwanaście miesięcy w roku.

Bogusław Kogut

Bałagan contra turystyka

Turystyka w naszym kraju rozwija się intensywnie w różnych formach i postaciach. Autostop przeżył się trochę, ale campingi są nadal modne — i to chyba bardzo dobrze. Coraz częściej wyrastają w co piękniejszych „plenerach” kolonie małych domków, barwnych z zewnątrz, uroczym prymitywnym i przytulnym wewnątrz — raj dla zmęczonych całonocną pracą mieszczuchów. Nawet w głuchym uroczysku, w jednym z obwodów łowieckich, gdzie od lat zwykłym był „zaszywać” się na część sezonu łowieckiego — wyrosła piękna kolonia domków na kurzej stopce. Szkoła trochę uroczyska — ale trzeba iść z duchem czasu.

Tego lata postanowiłem zażyć rozkoszy campingu i chociaż w ostatniej chwili zdarzyła się komplikacja w postaci gipsowego opatrunku na dole kończyny — nie zrezygnowałem. Ostatecznie można wczasować i o lasce. Zapakowałem więc do samochodu rodzinę, psa, tudzież pewną ilość puszek z konserwami — i jada do Chodzieży!

Dlaczego do Chodzieży? Miałem zawsze jakiś sentyment do tego miasta. Przed Chodzieżą (która leży na drodze do Piły i Koszalina, więc nieraz wypadło tedy przejeżdżać) swoista osobliwość: przy-

stronie tablica z napisem „ZWOLNIJ! PIĘKNY WIDOK”. Widok istotnie urzekający; Chodzież jest jednym z najpiękniej położonych miast Wielkopolski. Jest także Chodzież miastem uprzemysłowionym (porcelana, porcelit) więc nie będzie kłopotu z tzw. zaopatrzeniem, w dodatku kolonia campingowa PTTK usytuowana idealnie w bezpośrednim sąsiedztwie parku kultury, w którym jest również ga-

stronomia (ściśle kawiarnia) a ta jest gotowa żywić amatorów campingu. No i las, woda, bogate ukształtowanie terenu. Więc już wiecie dlaczego wybrałem Chodzież.

Co do samego campingu nie zawiodłem się bynajmniej. Kolonia powstała w dużej mierze na bazie inicjatywy społecznej, nie była (o ile wiem) „inwestycją” zakładową (jak tamta w moim uroczysku łowieckim) — więc tym bardziej godne pochwały jest to, co tu zrobiono dla wygody i przyjemności amatorów campingu. Role ducha opiekuńczego spełniają tutaj

stronomia (ściśle kawiarnia) a ta jest gotowa żywić amatorów campingu. No i las, woda, bogate ukształtowanie terenu. Więc już wiecie dlaczego wybrałem Chodzież.

Co do samego campingu nie zawiodłem się bynajmniej. Kolonia powstała w dużej mierze na bazie inicjatywy społecznej, nie była (o ile wiem) „inwestycją” zakładową (jak tamta w moim uroczysku łowieckim) — więc tym bardziej godne pochwały jest to, co tu zrobiono dla wygody i przyjemności amatorów campingu. Role ducha opiekuńczego spełniają tutaj

Tajemnicza waliza

Wśród dowodów zbrani czerwonych spiskowców znajduje się też dużych rozmiarów waliza. Na pierwszy rzut oka najnormalniejsza pod słońcem. Jeśli jednak stawiając walizę naciśnie się jednocześnie sprężynę wbudowaną w rączkę spod rozsuwającego się boku, wyjdzie posmarowana czerwoną farbą matryca zostawiająca na podłożu napis: „Hitler = wojna, śmierć, głód”. Ileż takich śladów może pozostawić jeden przechodzień dzwigający kufer załadowany — jeśli otworzyć wieko — brudną bielizną?

Każdy dzień śledztwa przynosi dalsze niespodzianki. Okazuje się np., że właśnie „Czerwona Kapela” oplakatowała tekstami antyhitlerowskimi teren goebbelsowskiej wystawy zorganizowanej w Berlinie pt. „Raj sowiecki”. W akcji tej brało udział 60 uczestników, ubezpieczonych przez 10 uzbrojonych bojowców.

Hitler, osobliście interesujący się przebiegiem śledztwa i domagający się wykrycia całej organizacji, wydaje polecenie zachowania sprawy „Czerwonej Kapeli” w tajemnicy. Wszyscy uczestnicy mają być najsurowiej ukarani, ale zapowiadający się proces — monstrum ma być rozbity na szereg doraźnych rozpraw, odbywanych w wielu miastach i to tylko przy drzwiach zamkniętych.

Za tydzień:

Pierwszy proces — Ostatnie słowo — „Skazać na śmierć”

— Kiedyś było inaczej — wspomina kierownik kontroli technicznej, Kerber — Ja tego dobrze nie pamiętam, ale mój starszy, który pracował w „Fosforach” od początku — opowiada, że dawniej fabryka robiła tylko przed kampaniami siewnymi, czyli dwa razy w roku...

Co za kontrast, w zestawieniu z tym, czego dowiedziałem się od dyrektora Szulca: PZNF, tylko w tym roku, zwiększą w porównaniu z poprzednim wartość produkcji — przy niezmienionym asortymencie — o 17,4 procent.

— Pan wie? Fabryka doktora Romana May'a i spółka, bo tak to się kiedyś nazywało, popadła w diabelskie kłopoty. Nie było zapotrzebowania na tutejszą produkcję. Krzyżys z początkiem lat trzydziestych całkiem spółkę rozłożył. Długi przekraczały wartość fabryki. Proces się odbył, ustanowiono nawet przymusowy zarząd dzierżawny dla wygospodarowania należności. A ludzie strajkowali. Czerwony Luboń, znana rzecz, słyszał pan o tym, nie?

Pięćdziesiąt lat „stuknęło” już dawnej fabryce Romana May'a. Zakład rozpoczął szósty krzyżys... Rozpoczął pomyślnie. W tym nieefektywnym przedsięwzięciu uzyskuje się zdumiewające wyniki. Nie potrzeba jeździć na Śląsk czy do Nowej Huty, by zapełnić reporterski bruilon godnymi odnotowania spostrzeżeniami. Wielkie rzeczy dzieją się także u nas, pod bokiem. Wielka chemia rozwija się pod Poznaniem.

PIOTR ŻYCKI

państwo Żukowie, zapaleni PTTK-owcy społecznicy, spełniają tę rolę z powodzeniem, ku zadowoleniu turystów. I za to małe (albo i większe) bravo dla pp. Żuków i chodziejskiego oddziału PTTK.

Ale wczasowicz, również ten z campingu, nie samym powietrzem żyje. I tutaj wylania się problem, zresztą typowo polski, jak się okaże poniżej.

Już pierwszego dnia zdumiałem się na widok sąsiadów pedzających do pociągu. Dokąd? Do Piły. Stąd, z pięknej podchodziejskiej moreny do Piły akurat? Ano, trzeba coś kupić do zjedzenia. Szczęście, że Piła jest niedaleko. Tylko około 30 km. Potem okazało się, że „gastro-nomia” nie przyjmuje „długofalowych” zamówień na obiady, tylko z dnia na dzień. Bo nigdy nie wie, czy i co dostanie do kuchni. Potem trzeba było bardzo długo przepychać się w kolejce po biały twarożek, jedyny dostępny tutaj frykas — no i wysłuchiwać psiożenia „tubylców” na wczasowiczów, na kolonie i obozy, które objadają mia sto. Na pieczywo trzeba dostojnie czyhać i łapać je skoro się tylko pojawi, o wędlinie nie ma w ogóle mowy — a raczej, owszem jest mowa przepłatana soczystą laciną. Na śniadanie bufetowa odstępować nam swoje bułki, które „zdobyła” dla siebie, przejmaj, pewnie lituje się nad moją kulawą nogą, są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

Myszę: miasto kilkunastotysięczne, przemysłowe tudzież turystyczno-uzdrowiskowo-wczasowe — i tu kie zaopatrzenie? Ktoś tutejszy objaśnia mnie, że Chodzież od dawna ubiega się o zaliczenie jej do „wyższej strefy” w zakresie zaopatrzenia — ale daremnie. Nie znam się, jak dotąd, na strefach zaopatrzenia. Więc powinienem iść do Wydziału Handlu, dowiedzieć się, wyjaśnić. Nawet wiem już jak się nazywa kierownik i że mnie przyjmie bardzo chętnie. Ale — do licha ciężkiego — nie przyjechałem na interwencyjny raportaż, przyjechałem na wczas! Nie będę chodził, indagował, wypytawał — bo to zresztą i tak nikomu nie pomoże. Wczasowicza, człowieka pracy, który przez cały rok pracował (i oszczędzał), by przyjechać na ten camping — nie nie obchodzi jakieś tam strefy zaopatrzenia, cały ten zaopatrzeniowo-handlowy bałagan i jego biurokratyczna otoczka. On powiada (a ja mu przyznaję całkowicie rację), że to o czym mówimy, to jest tylko jeden z przykładów chaosu w planowaniu i zaopatrywaniu, bezroskistymu-wizmu na jakimś tam szczeblu, który decyduje o tym, że przemysłowo — turystyczno — uzdrowiskowo — wczasowa Chodzież nie otrzymuje tego, o co się ubiega, co jest jej potrzebne i nieodzowne.

Jak długo u nas jeszcze będzie tak, że wzrost turystycznej atrakcyjności jakiegos miasta będzie uprzykrzeniem dla jego mieszkańców, powodem do psiożenia zamiast do radości? Na to pytanie nie umiem sobie absolutnie odpowiedzieć. A swoją drogą, jak to dobrze, że zabrał się do Chodzieży trochę puszek! Chociaż — samymi konserwami też trudno żyć.

Baedeker poetycki Gdańsk

Najbardziej rozpoetyzowaną postacią jest tam Jerzy Afanasjew, poeta uprawiający z upodobaniem groteskę, lirykę przewrotną i nie pozbawioną zarazem humoru. Niewyczerpana wyobraźnia i pomysłowość sprawiły, że Afanasjew jest wśród całej młodej generacji poetyckiej zjawiskiem odrębnym, nie dającym się ująć w żadne schematy ocen krytycznych. Dowód na to choćby w myślącej sugestii Ryszarda Matuszewskiego, który uznał Afanasjewa za dekadenta i epigona muzy Gałczyńskiego i Mrożka.

Cała reszta gdańskiej osady poetyckiej — z wyjątkiem Zbigniewa Szymańskiego i Stanisława Dąbrowskiego — holduje raczej powściągliwości lirycznej, poezji wyrozumowanej, oszczędnej, korzystającej z sugestii, analizy matematycznej, czy chemicznej oraz malarstwa kubistycznego.

Bogdan Justynowicz, autor dwu tomików wierszy i jeden z ciekawszych reprezentantów gdańskiego środowiska, jest zarazem najwyraźniejszym przykładem ewolucji, jaką przechodził do środowiska. Tom „Przed jutrem” — z roku 1958 — był jeszcze lirycznym notatnikiem uczuć pokolenia smutnego, rozczarowanego, szukającego dla siebie miejsca w świecie dzisiejszym. Poszukiwania zmierzały więc w ciągu paru ostatnich lat od konkretnego lirycznego, od rodzajowego obrazka z widokiem morza i portu, do abstrakcji — abstrakcji pojęciowej i abstrakcji w zapisie poetyckich skojarzeń.

Drugi tom Bogdana Justynowicza nazywa się „Przenikanie”, od poprzedniego tomiku dzieli go dwa lata, okres zaświadczenia przemianę poślawy poety wobec olaczającego go świata. Nie jest to jeszcze postawa wykrystalizowana. W zbiorze „Przenikanie” znajdziemy bowiem — oprócz wierszy nowych, wykonanych — wiersze niesłychanie tradycyjne, wyliczeniowe. Justynowicz przekroczył zaledwie próg modnych dziś kierunków poetyckich, i w świecie tym nie czuje się pewnie. Nie przyswoił sobie jeszcze umiejętności kondensacji znaczeń, ograniczył się zaledwie do naśladownictwa ornamentyki słownej.

Ambicji takich nie objawia Stanisław Dąbrowski, który z uporem posługuje się tradycyjną wersyfikacją, w czym objawia niewątpliwie dużo większą samowiedzę poetycką. Poeta ten swa domie — wbrew modzie — nawiązuje do poezji prostej, komunikatywnej, która nie straciła przez wszystkie ostatnie lata uznania i sympatii czytelników. Nie jest to postawa popularna wśród snobów, toteż Dąbrowski czuje się nawet zobowiązany wytłumaczyć przed ich pogardą w wierszu „Koneserom”.

Dostrzec można w tym uporze Dąbrowskiego rzadko spotykaną wiarę w słuszność obranej drogi. Jego zbiór „Szyderstwa i trwogi” dokumentuje osobisty dramat poety, który ze wsi, „dawny pastuch”, przedł się przez szkoły, próbował różnych zawodów i atrakcji życia, lecz nie stracił mimo wszystkie przeciwności własnego ja, nawet wtedy, gdy trafił między poetów.

Inny z poetów gdańskich, Bolesław Fac, zażyłował swój zbiór wierszy „Gotyk dźwięku”. Jak można wnosić z zawartych tam utworów, poeta jest zafascynowany światem dźwięków, efektów akustycznych i muzycznych. Stąd często okazywane dążenie do zapisania „słów dźwięku”, barw i obrazów muzyki. Nie jest to próba zbyt nowa w literaturze, ale jako jedna z dróg na pewno interesująca — znajdująca swoje miejsce na mapie współczesnych kierunków poezji sensualistycznej.

Godne uznania u Faca jest to, że swoich zainteresowań poznawczych i poetyckich nie kieruje w jakieś światy nieznane, dedukowane z wyobraźni. Autor „Gotyku dźwięku” chodzi po ziemi, jest kolekcjonerem akustycznych doznań swojego miasta, pisze o wrażeniach z koncertów, o symfonii portu, jest piewą mikrokosmosu prowincjonalnego. Stara się stworzyć na użytek własnej poezji swój własny świat wzruszeń i przeżyć.

Ucieka od zgiełku współczesnej cywilizacji, unika myślenia o zagrożeniu atomowym, szuka azylu ciszy, chroni się w świat innej akustyki, pragnie nasycić się dźwiękami dobrej muzyki. Nic przeto dziwnego, że tomik Bolesława Faca zdobył najwyższe uznanie pośród gdańskich zbiorów wierszy ostatnich lat.

Nie ma tej cechy wyodrębniającej Mirosława Ściewicz i dlatego jego zbiór „Błaznawość” nie wyraża żadnej własnej wizji czy uświadomionego poglądu poety, przetwarzając jedynie współczesne motywy literackie, starając się co najwyżej jako je tylko atrakcyjnie formalnie. Temperament,

duża łatwość pisania, nie są dobrymi sprzymierzeńcami autora, który bezkrytycznie przerzuca się od makabreski do obrazka lirycznego, od pretensjonalności znaczeniowej do wierszowania omalże w stylu księdza Baki.

Sądzę, że Ściewicz powinien poniechać wprawek stylistycznych i wersyfikacyjnych i spróbować wynaleźć jakieś bardziej skrytykowane założenia swojej poezji. Jego bowiem „Błaznawość” — z wyjątkiem rozdziału zażyłowanego „Mikroteatr” — wzbudza najwięcej zastrzeżeń krytycznych.

Zbiór utworów Mieczysława Czychowskiego, nazwany „Miejsca wydrżone”, jest mozaiką szkiców lirycznych, motywów krajobrazu, w głównej mierze wiejskiego, ujętych w formę ballady, baśni, ludowej pieśni, czasem z morałem czy interpretacją satyryczną. Zastanawia jednakże u niego jakaś przedziwna łatwość w przerysowaniu się od werbalistyki uduchowionej, rzec można nawet dewocyjnej, do werbalistyki niesłychanie wulgarniej, ulicznej.

Nie jest to zresztą właściwość jednego tylko Czychowskiego, to jakiś styl ogólny nowej literatury, dowodzący pogardy dla autorytetów i uczuć — dowodzący zeświecczenia, ale i chyba pewnego zaniku kultury uczuć.

Ryszard Matuszewski powiedział podczas ostatniej Jesieni Poetyckiej w Poznaniu, że Gdańsk ma swoich postawangardystów, których prawie nie sposób od siebie odróżnić. Z tego, co się tu rzekło, wynika chyba jasno, że jednak różnią się ci poeci gdańscy między sobą, tyle że trudno ich wszystkich zaliczyć do postawangardystów.

Wypadnie jednak usprawiedliwić od razu Matuszewskiego. Wystąpił on bowiem z wyraźnymi postulatami zaangażowania ideowego i estetycznego w poezji — i w tym sensie trzeba mu przyznać całkowitą słuszność.

Feliks Fornalczyk



Eugeniusz Paukszt

Dawne i niedawne

Dzisiejszy przegląd nowości wydawniczych zacząć trzeba od prawdziwej rewelacji, jaką jest ukazanie się staraniem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie, pięknie wydanej, trzytomowej „Historii Sztuki Polskiej”, opracowanej przez szeroki zespół autorski, pod redakcją Tadeusza Dobrowolskiego i Władysława Tatarkiewicza. Jest to właściwie pierwsze u nas opracowanie całościowe dziejów sztuki polskiej w jej rozwoju historycznym, uwzględniające obok architektury, rzeźby, malarstwa, również urbanistykę, budownictwo drewniane, grafikę i rzemiosło artystyczne, w dodatku opracowanie, wiążące dorobek sztuki polskiej z Zachodnimi. Autorzy, w liczbie 17, postawili sobie za cel ukazać różnorodność w sztuce polskiej, ale zarazem i wskazać na jej jedność. Obok podkreślenia elementów tradycyjnych, wypukłone zostały wartości postępowe naszej sztuki. Każdy z tomów jest bogato ilustrowany, posiada bibliografię, indeksy i spisy rycin. Godne podkreślenia są świetne obwoluty Zofii Dąbrowskiej. W ten sposób zyskujemy dzieło niestłuchanie potrzebne, imponujące pietyzmem redakcyjnym i wydawniczym.

Bieżący tydzień wydawniczy przyniósł również kilka cennych poznańskich opracowań historycznych. Nakładem Wydawnictwa

MON ukazało się studium Emanuela Halicza „Geneza Księstwa Warszawskiego”, po raz pierwszy próbujące ukazać problem tych kilku zaledwie lat istnienia Księstwa nie tylko pod kątem widzenia stosunku Napoleona do sprawy polskiej, ale także całego splotu ważkich czynników zewnętrznych i wewnętrznych, które miały wielki wpływ na decyzje tyłżycie. Do zawsze pasjonującego i budzącego sporne oceny okresu panowania Stanisława Augusta wraca Maria Rymaszyna w wydanym przez PWN tomie „Gabinet Stanisława Augusta”, omawiającym niezwykle interesująco działanie wielkiej kancelarii królewskiej, zwanej Gabinetem, instytucji, gdzie spłatały się sprawy współzrądzów i wpływów osobistych tragicznego naszego monarchy. (Przy tej okazji warto wspomnieć, że ukazało się nakładem MON-u wznowienie dobrej powieści historycznej Marja Sadzewicza „Jedwiżka i jej zalotnicy”, ukazującej dzieje głośnej pani Jadwigi ze Strutyńskich primo voto Ciechanowieckiej, secundo voto Manuzzi, matki syna ostatniego króla Polski).

Jest także i kilka prac z historii literatury czy też dziedzinie pokrewnych. W XVII wiek, będący szczytowym dla rozwoju rozkwitu pamiętnikarstwa staropolskiego,

przenosi nas Jadwiga Rytel w świetnym studium „Pamiętniki Paska na tle pamiętnikarstwa staropolskiego” (nakładem „Ossolineum”). Założeniem autorki jest zwrócenie uwagi przede wszystkim na literackie, preleteryjne funkcje pamiętników tego okresu, nie zawsze doceniane w należyty sposób. Inną pozycją, będącą swego rodzaju odkryciem, jest wydane przez PIW opracowanie (przez Gabriellę Pauszer-Klonowską) odnalezionych listów Prusa. „Ostatnia miłość w życiu Bolesława Prusa”, to mały Pameczek, jasnowłosy, kędzierzawy chłopczek, wychowanek

Aliny Sacewiczowej, oficjalnie tylko chrzestny syn wielkiego pisarza... Lektura na swój sposób wzruszająca i przybliżająca jeszcze bardziej autora „Lalki” naszym uczniom. W „Ossolineum” ukazała się praca Zbigniewa Kubikowskiego „Wrocław Literacki”, stanowiąca szeroko opracowaną informację o życiu literackim Wrocławia w latach 1946—1961. Szkoda tylko, że autor własne ostatnie lata kwitując bardzo krótko, ogólnikowo, jakby wolał nie angażować się w bliźsze osady.

Wszystkim interesującym się sprawami naszej literatury ostatniego półwiecza zalecił chciałbym wydaną przez PIW książkę Hanny Mortkowicz-Oleczakowej „Pod znakiem kłosa”, będącą szczerą, wzruszającą w niej jednym jakby kroniką dziejów firmy wydawniczej Jakuba Mortkowicza, tak zasłużonego dla naszej

Węgrowskiego odwiedził Nafale Szymański, wdowę po znanym poecie proletariackim, w Czerwonym Borze w pow. ostrowskim na Mazowszu zaprzyjaźnił się z Adela Narowską i jej synem Janem, który ukrywał „Chłopca z Salskich Stepów”, bohatera powieści Igora Newerly'ego. Kilka dni był gościem „Mazowsza” w Karolinie; zna dobrze Gustawa Morcinka, plastyków z Zakopanego — Barbarę i Tadeusza Brzozowskich.

Czesław Białas nie uważa swej wędrówki za zakończoną. W najbliższych dniach rusza na objazd Wielkopolski. Chce dotrzeć do wszystkich kół ZMW i ZMS, by zrazić je bakcylem krajoznawczym. Życzymy mu jak najlepszych wyników.

Socjologia w urbanistyce

Dokończenie ze str. 1

niczy walor: spokojniejszy niż w wielkomiejskim skupisku tryb życia. Ale potrzeba im urządzeń komunalnych i instytucji społecznych, wokół których formowałoby się życie społeczne.

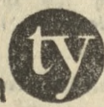
— Z tego wynika, że pomoc socjologów jest również konieczna przy opracowywaniu planów rozbudowy i rozwoju wszystkich miast. Zdaje mi się, że rozszerzaniu tej pomocy na przeszkodził brak kadr.

— Owszem, chociaż nie można przeceniać roli socjologów. Oni dostarczają wiele elementów do decyzji, ukazują konsekwencje, uświadamiają koszty społeczne (często niewymierne). Ale nie do nich należy wskazywanie, w jakim kierunku winny iść przemiany urbanistyczne. To już wychodzi poza ramy specjalizacji naukowej. Niemniej socjologowie, specjalizujący się w problemach postępującej urbanizacji — są coraz bardziej potrzebni. Tym bardziej, że urbanizacja wychodzi poza ramy miast i obejmuje już osiedla i wsie, co niesie ze sobą nowe problemy społeczne.

Rozmawiał:

Józef Pieprzyk

z książka na



W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Nasza akcja — trwa!

Trzy miesiące temu „Głos” rozpoczął akcję walki z marnotrawstwem czasu. Chcieliśmy w ten sposób poruszyć opinię publiczną, przypomnieć, ile czasu marnujemy codziennie na niepotrzebne czynności, ile marnują go nam inni.

W serii artykułów wytknęliśmy wielu instytucjom źródła marnotrawstwa cennego czasu. Krytykowaliśmy pocztę, służbę zdrowia, Prezydium RN m. Poznania, sądy, handel uspołeczniony i przemysł. Czytelnicy w licznych korespondencjach (trafniejsze zostały wydrukowane) uzupełnili nasze krytyczne uwagi. A jak bardzo sprawy te bolą obywateli niech świadczy fakt, że otrzymaliśmy 287 listów piętnujących lekkomyślne trwonienie czasu.

Znaczenie problemu, jego społeczną i polityczną wagę dostrzegli, niestety, tylko niektórzy kierownicy krytykowanych instytucji. Ich odpowiedzi drukujemy poniżej. Dłużnikami naszymi pozostają nadal: służba zdrowia, handel i przemysł.

★

Akcji naszej nie kończymy, do zrobienia bowiem pozostało jeszcze zbyt wiele. Będziemy nadal śledzić i piętnować marnotrawców bezcennych godzin. Naszych Czytelników znowu prosimy o pomoc. Piszcie o tych sprawach.

Nasza krytyka Rady Narodowej m. Poznania spotkała się z rzeczową oceną i odpowiedzią Jerzego Kusia, przewodniczącego Prezydium RN m. Poznania. Czytamy w niej m. in.:

„W związku z artykułem Michała Łuczaka pt. „U drzwi twoich” zamieszczonym w „Głosie Wielkopolskim” w dniu 1. VI. 1962 r. wyjaśniam, że polecenie Prezydium Rady Narodowej m. Poznania w sprawie przyjmowania interesantów osobiste przez kierowników wydziałów codziennie w godzinach między 9—11 jest w zasadzie przestrzegane. Przytoczone w artykule przykłady z dnia 16. V. 1962 r. zostały omówione z kierownikami zainteresowanych wy-

działów przy udziale redaktora Łuczaka (...).

Trzy razy w tygodniu przyjmują interesantów bezpośrednio członkowie Prezydium — przeciętnie 60—100 osób tygodniowo. Uwaga redaktora Łuczaka o zakazie organizowania na rad przed godz. 11 jest w Prezydium na ogół przestrzegana, niestety, szereg instytucji zaprasza na narady (niejednokrotnie o zasięgu ogólnokrajowym lub wojewódzkim) w godzinach przedpołudniowych. W tych wypadkach interesantów winni przyjmować zastępcy kierowników lub wyznaczeni pracownicy.

Sprawą właściwego stosunku do interesanta zajęło się nie tylko Prezydium, lecz również organizacja partyjna. We wszystkich organizacjach oddziałowych omawiane są sprawy załatwiania interesantów. Na wniosek organizacji partyjnej po przeprowadzeniu wszystkich wydziałów Prezydium do budynku przy pl. Kolegiackim zostanie zorganizowana specjalna informacja dla interesantów.

Uwagi zawarte w artykule (...) wykorzystane zostały w pełni dla dalszego usprawnienia pracy administracji, walki z biurokracją i wdrożenia w życie zasady wychodzenia naprzeciw ludziom, załatwiających swe sprawy w urzędach.”

★

Publikacja pt. „Temida czy Godot?” („Głos” nr 84) mówiła o marnotrawstwie czasu w sądach. Chodziło m. in. o takie zagadnienie jak nierealność wokand (np. rozprawa wyznaczona na godz. 9 rozpoczyna się o godz. 13). A oto co na ten temat pisze prezes Sądu Powiatowego dla m. Poznania — W. Abramowicz:

„Nie można oczywiście wykluczyć w tej sytuacji pewnych niedomagań, jak to się zdarzyło właśnie w dwóch przypadkach opisanych w cytowanym artykule. Poza zwróceniem uwagi osobom zainteresowanym, zagadnienie ochrony czasu osób wezwanych do sądu będzie również jednym z zagadnień rozważanych na najbliższej naradzie.”

Co można zrobić, by ludzie mniej czasu tracili w sądach? — takie pytanie zadaliśmy Tadeuszowi Świtowi pełniącemu obowiązki prezesa Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu.

— Wokanda — rozpoczął swoją wypowiedź prezes Świt — powinna uwzględniać rozkład jazdy PKP. Chodzi o wyznaczanie zamiejscowym świadkom najbardziej dogodnych ze względu na połączenia kolejowe — godzin przybycia.

Podstawowym warunkiem realnego rozplanowania terminów rozpraw jest dobra znajomość akt. Tylko wówczas można uniknąć rozmaitych dłuższn połączających np. na przesłuchiwaniu świadków na nieistotne okoliczności.

Nie zawsze jednak w takich warunkach rozprawy toczą się planowo. Niejednokrotnie bowiem na wyśokości zadania nie potrafia stanać pozostali uczestnicy procesu. Świadczenie stosunkowo często dają wykrętne odpowiedzi, w związku z czym trzeba odczytywać ich zeznania złożone w śledztwie. Bywa i tak, że prokurator jest słabo przygotowany, a adwokat chce się popisać aktywnością zasypując świadków pytaniami, dotyczącymi już wyjaśnionych kwestii.

Jeśli chodzi o sędziów — to słyszą oni o tym problemie stale — na każdej naradzie i podczas każdej wizytacji. Przypominamy także o punktu alnym rozpoczynaniu procesu. Jednakże i tutaj w grę wchodzi inne, niezależne od sędziego czynniki. Czasem spóźni się ławnik, czasem MO nie doprowadzi w porę oskarżonego. Świadczenie również nie grzeszą punktualnością.

★

Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji odpowiedziała nam tak:

Mimo trudnej sytuacji kadrowej (wolne etaty, ale brak na nie reflektantów, duża absencja) podejmujemy wiele przedsięwzięć mających na celu szybszą obsługę klientów. I tak np. na Poczcie Głównej i w urzędzie przy Dworcu Zachodnim zostaną założone *złote skrzynki* do nadawania listów poleconych (następnego dnia dowód nadania będzie można odebrać na poczcie, lub zostanie on przesłany do domu klienta). Dla instytucji i przedsiębiorstw wprowadzimy natomiast uproszczony system nadawania przesyłek poleconych. Usprawnienie obsługi nastąpi także wskutek zastosowania maszyny do przyjmowania przekazów pieniężnych.

Nieliczne jeszcze instytucje stosu-

bonami książkowymi po 200 złotych

Za najciekawsze korespondencje zostali nagrodzeni:

mgr J. Skrzypczak	— Poznań, ul. Bydgoska 4/3,
Stanisław Słowiński	— Poznań, ul. Szamarzewskiego 58/10,
Eugeniusz Ciebielski	— Poznań, ul. Dąbrowskiego 454/5,
Stanisław Dębiński	— Poznań, ul. Palacza 13,
Kazimierz Stelmach	— Robakowo, pow. Śrem,
Teodor Hała	— Wieleń, pow. Trzcianka,
Stefan Nowak	— Kórnik, pow. Poznań,
Tadeusz Ratajczak	— Poznań, ul. Świerczewskiego 25a/3,
Stanisław Rzepa	— Gniezno, ul. Sienkiewicza 21,
Ryszard Baczynski	— Poznań, ul. Hetmańska 26.

Ponieważ nasza akcja trwa, raz na kwartał rozlosowane zostaną wśród korespondentów bony książkowe o wartości 200 zł każdy.

William Faulkner

Choć zmarły niedawno William Faulkner nie zdobył sobie tak szerokiej popularności jak Hemingway, to jednak większość krytyków w nim właśnie widziała najwybitniejszego ze współczesnych pisarzy amerykańskich. Główną przyczyną tych rozbieżności jest język Faulknera, niespokojny, zagmatwany, chropawy, przepełniony niezwykle długimi okresami (w jego powieściach można znaleźć zdania, ciągnące się przez całą stronę), słowem — żywa antyteza tego, co zwykle nazywa się klarownością stylu.

Toteż język Faulknera był niejednokrotnie przyczyną krytycznych uwag. Ale Faulkner nie przejmował się nimi: „Jeśli pisarza — twierdził — pochłaniają zagadnienia stylu, znaczy to, że nie umie on pisać i byłoby lepiej, by w ogóle przestał pisać...” Tak się jednak — o ironio! — stało, że właśnie styl Faulknera wzbudził prawdziwą falę naśladowców; także w Polsce nie brak ludzi, którzy sądzą, iż wystarczy naśladować styl Faulknera, by stać się pisarzem w pełni współczesnym, zapominając że ów specyficzny język bynajmniej nie został przez Faulknera „wymyślony”, lecz — po prostu — jest ściśle związany z jego osobowością twórczą, z typem wyobraźni, pełnej zachłanności i fantazji.

Zresztą Faulkner trzymał się z dala od tzw. literackiego świata i jego nowinek. Urodzony w prowincjonalnym stanie Mississippi, młodość spędził daleko od kulturalnych ośrodków. Próbował różnych zawodów: był akrobatą lotniczym, urzędnikiem pocztowym, sprzedawcą, dziennikarzem, robotnikiem; próbował także — bez powodzenia — pisać wiersze. Rozgłos zdobył dopiero dzięki „Azylowi”, a jego rangę ugruntowały dzieła tej miary, co np. „Dzikie palmy” — „Stary” czy „Absalomie, Absalomie...”

Głównym motywem dzieł Faulknera — to prawda i legenda Południa. Historyczny proces formowania się i upadku patriarchalnych feudalnych prawnostuków społecznych w południowych Stanach, tradycje rodów białych osadników, ich nieograniczonej władzy, honoru i pychy — to wszystko, co należy już do przeszłości, przekreślonej przez wojnę domową, stało się obsesją pisarską Faulknera. Stworzył on na kartach swych powieści nigdy nie istniejące hrabstwo Yoknapatawpha, które zaludnił swymi postaciami. Skrzętni krytycy obliczyli nawet, że mieszkało w nim 6298 białych i 9313 Murzynów, gdyż tyle postaci przewija się przez powieści Faulknera, których akcja rozgrywa się w tym fikcyjnym hrabstwie. Problematyka ta była zresztą Faulknerowi najbliższa, jako ściśle związana z jego przeszłością rodzinną.

Szereg dzieł Faulknera zostało przetłumaczonych na język polski: po czwarty od „Azyłu” wydanego w roku 1957, poprzez „Dzikie palmy” — „Stary”, dwa tomy opowiadań, powieści pt.: „Absalomie, Absalomie!”, „Światłość w sierpniu”, „Sartor”, „Niepokonane”, „Intruz” — do „Wielkiego lasu”, wydanego ostatnio zbioru opowiadań o lesie, zwierzętach i polowaniach. Książek tych próżno dziś szukać na półkach; tak więc mimo iż Faulkner należał do tzw. trudnych pisarzy, jego dzieła — jak zawsze dzieła prawdziwie wielkie — znalazły również u nas swych czytelników.

J. B.

Z TEK I ST. MROWIŃSKIEGO



Krystyna Szafrńska
aktorka



Losy wynalazków

Tygodnik Polityka znow rozpoczął nową kampanię. Otóż przed dwoma tygodniami opublikowano tam pierwszy artykuł z cyklu „Złote szare komórki”. W najświeższym wydaniu Polityki znajdujemy artykuł Zygmunta Szeligi pt. *Gdyby Edison był Polakiem...* Autor omawia losy polskich wynalazków, a między innymi sławnego „kreta”, o którym po raz pierwszy w „Głosie” pisaliśmy dobrych kilka lat temu.

„...Teraz — kiedy już „kret” zrobił światową karierę, kiedy na pewno wiadomo, że może być tym „złotym jabłkiem” — nadal nim nie jest. Nie istnieje seryjna produkcja, nadal nie ma pieniędzy na przeprowadzenie szczegółowych badań i dalszych ulepszeń „kreta” (...) Twórcy (...) nie tylko nie zrobili majątku, ale nie uzyskali nawet rekompensaty za sam fizyczny wysiłek włożony w badania i próby.”

Takich przykładów można by przytaczać bardzo dużo, mamy sporo nierozwiązanych problemów techniki, ale nierozwiązanych wskutek niewłaściwego traktowania tych zagadnień. Oto przykład „nierozwiązanego” problemu: „Silnik „Warszawy” zużywał 14 litrów benzyny na 100 km, 10 tys. wchodzących rocznie do eksploatacji „Warszaw” przejeżdża w ciągu roku

jakieś 200 milionów kilometrów. Zużywają — bagatela — 28 milionów litrów benzyny. (...) Wystosujmy do nich (wynalazców — dop. Lektora) list otwarty: Kochani wynalazcy! Milion złotych nagrody wypłacę temu, kto skonstruuje do „Warszawy” silnik zużywający 8 litrów na setkę” (...)

Niestety, autor nie ma takich kompetencji, a ci, którzy je mają nie umieją jakoś wykorzystać ogromnych zdolności i zapału naszych wynalazców.

Zadania służby zdrowia

W tygodniku Służba Zdrowia ukazał się wywiad z ministrem Sztachelskim, który przed służbą zdrowia stawia najważniejsze zadania. Oto one:

1. Opieka nad najmłodszym dzieckiem ze szczególnym uwzględnieniem tych zagadnień na wsi;
2. Walka z gruźlicą;
3. Podstawowym aparatem w walce z gruźlicą są poradnie przeciwgruźlicze. Mamy ich zbyt mało. Będziemy więc dążyć do otwierania nowych...
4. Sprawy sanitarne-epidemiologiczne;
5. Przemysłowa służba zdrowia z głównym akcentem na wielkich zakładach przemysłowych i zakładach o dużej szkodliwości;
6. Wiejska służba zdrowia.

Reportaż o Polsce

Przegląd Kulturalny zamieszcza pasjonujący reportaż Aleksandra Malachowskiego pt. „Rzecz-

niepospolita”. W pierwszej części reportażu czytamy:

„Bardzo trudno jest być sprawiedliwym. Powinniśmy mówić o Polsce rozsądnie i poważnie. Powinniśmy się zdobywać na maksimum obiektywizmu. Jeśli patrzeć na to, co się dzieje, jakoś bardzo ogólnie, łatwo wykrzesać z siebie ten pogodny obiektywny osąd.”

Dalej autor zamieszcza coś, co można by nazwać obrazkami-syntezami. Oto jeden z takich obrazków:

„Pojechałem do Krakowa. Na dworcu znalazłem się o godzinie 17.45. Chciałem się napić herbaty. Przed restauracją I klasy zatrzymało mnie.

- Sprzątanie sali, otwieramy o 18.
- Gdzie mogę dostać herbaty?
- W bufecie II klasy.
- Poszedłem. Zatrzymało mnie.
- O 18 zaczynamy sprzątanie sali, gości już nie wpuszczamy.
- To może dałoby się tu kupić jakieś owoce;
- W sklepie naprzeciwko...

Poszedłem. Byli na wpół zgnite gruszki po 18 zł za kilogram. Drożej niż winogrona. Podziękowałem.”

Autor zatrzymuje się też nad poglądami człotowych publicystów, porusza także sprawy emigracji polskiej, pisze o ogromnym skoku, jakiego dokonało w swych poglądach i pojęciach na przeszłość i teraźniejszość młode pokolenie. „Rzeczniepospolita”, to pierwszy odcinek wiel-

kiego reportażu o Polsce. Z niecierpliwością czekamy na następne.

Kwaterunkowe bezprawie

Józef Muszkat-Jolek, znany ze swej bezkompromisowej walki z łajdaczkami, publikuje na łamach Tygodnika Demokratycznego artykuł pt. „Umowna fikcja”. Treścią artykułu jest protest wobec zdarzających się bezprawnych poczynań władz kwaterunkowych.

„Faktografia nie z Kłaja, ale właśnie z serca Warszawy. Centrum miasta. Dom stary. Na III piętrze pokój z kuchnią. W lokalu tym od 1945 roku mieszka ob. Iks, chory na gruźlicę, jego siostra chora na schizofrenię oraz ich 70-letnia, ledwo dysząca matka. Władze komunalne (...) postanowiły budynek poddać kapitalnemu remontowi. Kwaterunek DRN Śródmieście w dniu 17. 4. 61 polecił rodzinie Iks przenieść się do suterenu, z tym jednak urzędowym zastrzeżeniem, że to piwniczne lokum będzie stanowił nie tymczasowy lokal zastępczy, ale nowe mieszkanie...”

Władze zwierzchnie decyzję kwaterunku zmieniły, ale bez skutku. Zarówno pan kierownik, jak i jego bezpośredni przełożeni beczynnie przyglądali się bezprawiu. „Łamanie praworządności na odcinku kwaterunkowym — to problem, z którym nie upora się pióro żadnego dziennikarza. To problem, który (...) będzie się ciągle odradzał, jak Feniks z popiołów. Tu trzeba sięgnąć do bogatego arsenału środków, innej, bardziej przekonującej precyzji.”

Jakie to mają być środki — autor nie pisze. Zresztą trudno byłoby tego odeń wymagać. Zasygnalizował problem, zresztą nie nowy, a na jego rozwiązanie muszą znaleźć czas i środki nasze władze. Tego od nich oczekujemy.

LEKTOR